

Krausii Fr. orotica nad Thorem i
Rowem (Bibl. Warsz. 1872, Kwiec.



KORRESPONDENCYA.

Do redakcyi Biblioteki Warszawskiej.

Okolica nad Zharem i Rowem.

Niedaleko od rzeki *Wolku* jest wieś *Kryniczne* z pięknym stawem, przy nim wznoszą się wzgórza z brzozowymi laskami. Miła ustrzeń, widokowska niewielka, ale wdzięczna. Jakaś cisza i swoboda; ruchu mało, ale choć nie widać tu pracy ludzkiej, natura sama ustroiła

8398

<http://rcin.org.pl>

INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72
Tel. 26-68-63

te miejsca ponętnie: na cyplach wzgórz bukiety drzew, w dole łączki rozkoszne pełne kwiatów, brzozy białe na zielonem tle. Staw dziś zakretem opasujący wzgórze, niedawno był daleko mniejszy. Dziś szeroka grobla i mурowany młyn; zwierciało wody wygląda na sporą rzekę; ale kto znał dawniej głośne trzy źródła, niżej stawu, dotąd je wspomina z żalem. Były to trzy bijące zdroje, czyste jak łąza; każdy się tu zatrzymywał, rad popatrzeć na żywe perły migające ustawicznie i napić się doskonałej wody. Właściciel wsi kazał powiększyć staw, usypał groble niżej i zalał pocziwe zdroje; naciśnięte ciężką kolumną wzięły inny kierunek i zrobiły sobie drogę przez blizką kamienną górę; by je zatrzymać wykopano głęboką fossę i w niej wzniesiono szeroki mur, sądząc, że przetną rwący się żywioł. Nie pomogło: źródła przebiły się niżej muru, i zrobiły sobie wychód daleko poza groblą; straciły jednak dawną przejrzystość, przechodząc przez różne pokłady góry, nasiękły żółtawą barwą, i nie mają już tego smaku; jakieś części żelazne i siarczane można w nich dostrzedz.

Ztąd, przejechawszy piaszczystą nieco pochyłość, wieś Kalne, rozległą, i chociaż zieleniejącą sadami, dość smutną, lasy leszczynowe i osikowe, przez małe i bardzo złe drogi, dostajemy się na góry pięknymi lasami porośłe, z kąd widać wstęgę wody i wieś z równiny wspinającą się na znaczną wyniosłość; czerwienieją mury dużego budynku, i daleko ponad jar pociągnęły się wzgórze. Woda owa jest rzeką *Zharem*, wieś od rzeki bierze nazwisko. Na lewo bieje dom właściciela, ogród niewielki spuszcza się ku dołowi. Budowla owa to cukrownia; woda Zharu, wstrzymana tu poraz pierwszy groblą, tworzy trzy idące po sobie stawy, o mile zwiększona przeciekami, zalewa wielkie przestrzenie, krajem leśnym płynie do wielkiej wsi *Bahrynowiec*, miasta powiatowego *Lityna*, obraca kilkadziesiąt młynów, i za *Mikulincami* wpada do *Bohu*. Okolica nad Zharem ma sobie właściwy wdzięk: ziemia w znacznej części gliniasta, rodzi pszenicę i wiele płodów; lasy czarne rosną tu głównie, dęby zrzadka śród innych drzew, lecz za to wysokie i proste; śród lasów spotkasz sypane wały, dawne obozowiska, dość często; bywają i na polu, jak w Zharuku. Jest tu trzynaście morgów zamkniętych wysokim nasypem z bramami, niedaleko od rzeki; miejsce to dość wysokie, można ztąd widzieć dużą przestrzeń; o dawności świadczą spore drzewa porośłe na wałach, takie same są o kilka wiorst ode wsi, lud je nazywa *horodyszczami*. Tradycya między ludem krąży, że to królowa Bona, żona Zygmunta Igo kazała je powznosić; owa królowa bardzo to popularna: każdy zamek jęj przypisują, miasto Bar nad rzeką Rowem, ona zbudowała, góra za rzeką nazywa się: Góra królowej Bony.

Lud tutejszy pięknej rasy: mężczyźni zwykle jasnych włosów, słuszni, krzepkiej budowy; kobiety kształtne, tylko ich piękność trwa krótko; rodzaj zajęcia, ciężka praca w polu, niszczy wdzięk przędko; natura ludu łagodna, zdolności mu niebrak, tylko mało rozwinięty; byt jego materyalny wcale niezły, a przędko by podniósł się, gdyby nie lenistwo i były środki oświecenia się; lenistwo ma z natury.

Jak tylko zboże urodzi, a jeszcze sad, który nierzadko daje kilkaset złotych, już pan gospodarz zapala fajkę i na przyźbie przy domu wyciąga się wygodnie na słońcu; choć obok zysków za robotę: czy u właściciela wsi, czy przy fabryce w lesie, lub u drogi żelaznej, on się nie ruszy; szczególnie w leśnej okolicy trudno o robotnika. Niechże posłyszysz skrzypkę, cała wieś na nogach, to też szczególnie nad Dniestrem w czasie sianokosu lub żniwa, umyślni wysłańce z muzyką i trunkiem, chodzą od domu do domu nim dojdą do końca wsi, cała ludność z kosami lub sierpami za nimi dąży. Jest nadzieja, że ta ociążałość ludu ustanie; okolica już się widocznie ożywia, droga żelazna właśnie najustronniejszą, lasami zacienioną część jej przecięła: stosunek ze światem czynnym poprawi zle.

Wsie w tej stronie są zwykle wielkie, po kilka jednakowo się nazywają; są i małe z kilkunastu domów złożone, zwą się prawie wszystkie Hutami lub Majdanami. Kraj ten do niedawna musiał być wielkim lasem, są tego jeszcze ślady; prócz wsi pojedynczych właścicieli, są tu wielkie osady szlacheckie. Rozległe przestrzenie pustych ziem, nadane żołnierzom za zasługi; są na to przywileje dawnych królów: na Zharem kilkanaście tysięcy morgów Władysław Jagiełło przeznaczył na własność Radziejowski, nieco dalej równie blisko Zharu sporą przestrzeń otrzymali Wołkowińscy, niezbyt odległe osiedlili się: Popowscy, Jełtuchowscy, Petranowscy, Dedeskuły, Czernelowscy, Stepankowscy, Wasiutyńscy i Terespolscy. Wszyscy na mocy przywilejów od kilkuset lat mieszkają tu; niegdyś drużyna zbrojna na zawołanie dosiadała koni, w każdej potrzebie byli gotowi obrońcy, a potrzeb było tu dosyć. Tatarzy najpierw tu uderzali, (sądzę, że to było powodem osiedlenia tego rycerskiego ludu). Tak więc myśl osad wojskowych, wprowadzonych niedawno, już przed czterystu lat miała zastosowanie; szlachta owa w długim pokoju rozrodziła się i skarłała. Dziś jej jest przeszło kilkanaście tysięcy w skupionych osadach, a daleko więcej po wsiach obywatelskich i skarbowych, znanych pod nazwaniem czynszowej szlachty. Wszyscy prawie rolnicy; ogół mało się różni od okolicznych włościan, szczególnie wykształceniem, bo w stroju ma odrębne cechy. Prostę świty włościańskiej wyszywanę sznurkami czerwonymi z kapturem, czapki okrągłej, wysokiej z baranięj skóry nie wdzieje; jego gunia jest sukienka bez zadnych wyszywań, krojem szlafroka; czapka rogatywka w zimie, w lecie kaszkiet. Na święto każdy ma długi ubiór z czarnej sukna, podobny do surduta, w lecie płócienny chałat. Oprócz skupionych osad po kilkaset domów, większa część osiedliła się w lasach; niektóre z tych folwarczków nieźle wyglądają: domek z gankiem o dwóch słupach, z ławkami, tuż sad, stawek, kilka lub kilkanaście morgów pola, kilka bukietów drzew, zabudowania gospodarskie, oto mały światek. Pan jego na małą skalę, ma też wszystko. Niektórzy synów posyłali do zakładów naukowych, kilku pokierowało się szczegółliwie, jeden został arcybiskupem. Pomędzy stare rody, wcisnęło się dość przybyszów odmiennych nazwisk: jedni poženili się z córka-

mi staréj szlachty i tu osiedli, niektórzy pokupowali części osad, mieli nawet osobnych włości; ci już wyglądają na arystokrację miejscową, odrębnością swoją zacieraają pierwotny charakter osad.

W niedalekim promieniu płynie rzeka *Rów*, nad nią leżą miasteczka: *Bar*, mający do 6,000 mieszkańców, z rozwalinami zamku, zbudowanego za króla Jana Kazimierza przez Beauplana; jeszcze kilka ścian muru wznosi się nad głębokimi fossami: wał otacza miasto od strony północnej. Niegdyś to miasto pamiętne konfederacją 1768, miało liczną szkołę, słynęło bogactwem kupców i węgierskiem winem. *Meżyrów*, miasteczko następców Seweryna Orłowskiego, niewielkie, w pięknym położeniu, ma piękny most i bahhof kolei żelaznej. O milę jest miasteczko *Brailów* nad tą rzeką. Błyszczą z daleka wielka cukrownia ozdobnej architektury; ma młyny marymonty, tartaki i słynne garbarnie, a nadewszystko góry wapienne, z kąd o kilkadziesiąt mil sprowadzają wapno. Piękny gmach kościoła, zakładu Potockich, dawnych właścicieli Brailowa, dziś klasztor dziewic, zdobi miasto. Nad tą wodą wznoszą się dwa piękne pałace: w *Czerniatynie*, niegdyś rezydencji rodziny Witosławskich, i w *Sewerynowce* Orłowskiego. Osm wież ciosowych zdobyło fronton w Czerniatynie, dzisiejszy właściciel nie wiem na co zdjął je kazał; ogrody przy tych mieszkaniach zakładał *Mizler*, umiejętnie korzystał ze ślicznej przyrody. Ciąg wzgórzy nad dużemi taflami wody, szumi rozkosznemi gajami. Z pałaców woda Rowu poprzecinana groblami, zdaje się płynąć wielką rzeką, grobel nie widać; Sewerynowka od Czerniatyna o kilka wiorst, pałace jednak patrzą na siebie. W *Harmakach*, pięknej wsi na tą wodą, jest wielkie mieszkanie z ogrodem, pracy Mizlera, własność Dębowskich; tu, woda zajmuje wielką przestrzeń, ogromnym rozlewając się stawem. Harmaki mające kilkaset mieszkańców, były dawniej w posiadaniu rodziny *Kruzerów*; rodzina ta pochodziła z Belgii, przybyła do kraju za czasów Jana III. Zaczyna ta rodzina posiadała powszechny szacunek. Ojciec prymasa Joachim Kruzer, generał-adjutant króla Stanisława Augusta, już urodzony tu w kraju, był z młodszą linią rodziny Kroazerów, zwaną w Polsce Kruzerami, jak to znaleźć można w konstytucyi zdaje mi się z 1762 r., nadającej jej indigenat, po wygaśnięciu starszej linii, został spadkobiercą tytułów i praw do udziałnego hrabstwa. Wezwany by je objął, wybrał się w tę daleką naówczas podróż; choć przyjęty biciem we dzwony i pompą, nie mógł się oswoić z nowemi ludźmi. Ciągnęło go do towarzyszy młodości i obyczajów wśród których wyrosł; to też spotkawszy się z Ponińskim w Brukselli, radośnie przyjął projekt odstąpienia praw swoich, w zamian za dobra na Podolu, chociaż hrabstwo więcej było warte, udziałność ludzająca, wziął ośm czy sześć wsi od Ponińskiego, i praw swoich ustąpił; musiał wziąć i dopłatę, bo kupił dużo kolonialnych towarów. i z temi wrócił do kraju; odtąd już za granicę więcej się nie ruszył. Prymus, najstarszy syn jego, oddany na edukację do Warszawy; znał się na koniach, zostało to jego przymiotem na całe ży-

cie, później już będąc gospodarzem słynał z tego. W 1812 roku dostał się do niewoli. Śród pamiętnej zimy z nogami poobwianymi słomą, przy 20-stopniowym mrozie, siedł z niewolnikami aż do Szczuczyna, myśląc, że już skonać przyjdzie; śród nocy wzięty do ciepłego domu, ogrzany, przystrojony i opatrzony, po kilkunastu dniach wypoczynku, dostał pozwolenie na wolny powrót do domu. Wróciwszy, zastał ojca skołatanego wiekiem, i ten w krótkim czasie, w Szarawce na odwiedzinach u Dulskiego, nagle umarł. Został sam z siostrą i trojgiem rodzeństwa z drugiej żony ojca. Owe dobra nabyte od Ponińskiego, ojciec już od kilkunastu lat utracił; ostatnią wielką wieś *Pokutyńce* z intratną wodą i obszernymi lasami, zamienił na mniejszą *Karpowce*, z dopłatą stu tysięcy złp., które ledwo pokryły długi pierwiej zaciągnięte. Został więc Prymus, z obowiązkiem wypłaty posagu trzem siostróm, bo brat z drugiego małżeństwa wkrótce umarł, przy jednej wsi, nie szczególnie zagospodarowanej. Młody, czynny, rzucił okiem na ciężkie obowiązki, nie zląkł się ich, ale wraz szukał towarzyszeki, coby mu pomogła je spełnić. Znalazł ją w domu powinowatym starosty Wincentego Raciborowskiego. Zofia Raciborowska, młoda, dobrze wychowana, rozsądna, pełna wdzięku, przyjęła jego zamiary. Nieraz mi opowiadał, jak na dzielnym białym koniu latał do niej o pięć mil w konkury; koń tak znał drogę, że już go nie trzeba było kierować: byle wsiadł, pięć mil z Karpowiec do Czarnywód, przelatywał w cztery godziny. Nie mógł nigdy tych wycieczek i tego konia zapomnieć; ile razy o tém mówił, oczy mu się świeciły. W 1815 roku nastąpił ślub; i odtąd pięćdziesiąt trzy czy cztery lat przeżyli z sobą przykładowie. Gospodarstwo prowadził pilnie, posagi siostróm rzetelnie wypłacił, opiekując się niemi do czasu wydania za mąż. Sam nie prawie dla siebie nie potrzebując, pamiętał zawsze aby żona miała dostatek. Jakoż ich dom utrzymywany na dostatniej stopie, nigdy nie pokazywał, że majątek ma długi: powozy, konie dzielne, meble porządne, stosunki przyzwoite, gość częsty, oznajmiały dobry byt. Bo też pani Zofia niepomału przyczyniała się do tego: takiej rządnej pamiętającej o wszystkim rzadko. Miło było patrzeć na czystość i porządek tego domu; usługi dużo, ale cichość, ład, zajęcie każdego stosowne; porządne sług ubiory, symetria, dobór i gust mebli uderzały. Ogród angielski, niezbyt duży, utrzymywany starannie, szparagarnie obfite, kwiaty śliczne, posadzki w każdym pokoju lśniące się; pokój samej pani nie wielki ale świeży, woniejący, pełen smaku. Sama, zawsze starannie ubrana, ale bez przesady; od wszystkich lubiona, odwiedzana. Takie było życie w Karpowcach gdym ich poznał. Prymus który się cieszył tą rządnością żony, chociaż do tego nie nie pomagał, po pracach gospodarskich grywał na skrzypcach; grał dobrze, bo nawet sławnemu Lipińskiemu akompaniował nieraz. Lubił opowiadać o swój żołnierce, o Radziwille pułkowniku, który jakoby miał 18 milionów rocznego dochodu, trzymał turka do nakła-

dania fajek, któremu gdy przypadkiem spalił się ubiór, posłał Radziwiłł do Stambułu i zapłacił zań 500 dukatów.

Karpowce zaczęły wydawać obfity plon. Prymus dochodem z roli opłacił długi i począł robić kapitał, ona zaś z wełny, ogrodów, utrzymywała dom. Mito było patrzeć na młodą kobietę z lepszego towarzystwa, jak umiała dawać wszystkiemu radę; krzątania się, zamętu, zwykłego u pilnych gospodyń, nie było widać: wstawała bardzo rano, cicho wszystkiem rozporządziła i już o siódmój była w salonie, ubrana, z twarzą pogodną, z wolną głową do innego zajęcia. Gościnność jój i uprzejmość była powszechnie znaną; to też kto raz był w Karpowcach, nie trzeba go było zapraszać. Miała szczególnież dar prowadzenia rozmowy: dźwięk jój głosu jakiś wdzięczny, pełen kobiecego uroku, nie zmienił się do późnej starości; rozmowa jój nigdy nie była czcza, a zawsze zastosowana do sił umysłowych tego, z kim rozmawiała. Literaturę lubiła i umiała oceniać: toż kiedy zjawił się szereg głośnych w kraju poetów, pamiętam z jakim zachwyceniem czytała i słuchała ich utwory; ile to razy Adama, Bohdana i tyłu, tyłu! czytywaliśmy razem. Każda iskra wyższej myśli odbijała się w jój oczach; wiele ustępów w młodości umiałem na pamięć, umyślnie się uczyłem, żeby mózg jój powiedzieć, bo o taką słuchaczkę było nie łatwo. Nigdy nie zapomnę ile miłych dni przeżyłem w ich domu, a szczególnie kiedy zgromadziło się kółko jój wybranych: gdy przyjechała siostra z mężem i synem, zacna, miła, niepospolitego charakteru, gdy przyjechał sąsiad jeden i drugi. Zasiadaliśmy w jój miłym pokoju, żywą rozmowę rwaliliśmy dla czytania; co tylko było ważniejszego w literaturze krajowej i obcych, mieliśmy. Ludzie, nawet niezbyt zajmujący się książką, których tu dawniej dość było, nie mogli się oprzeć pociągowi takiego towarzystwa: słuchali i powoli umysłowe korzyści nabierały u nich szacunku. Ojciec jój, który tu czasem przyjeżdżał, pełen dowcipu i rozumu człowiek, ożywiał nasze kółko; był kiedyś bogaty: posiadał miasto i kilka wsi, ale szczególna skłonność do sprzedawania dóbr i kupowania nowych, po kilku takich operacjach, doprowadziła go do ruiny. Nie wpływało to jednak na jego humor: każdą rzecz pochwycił ze śmiesznej strony, i tak swobodnie i wesoło obracał rozmowę, że wszyscy otaczali go z zajęciem. Czasem przyjeżdżał i brat gospodyni, lubiony i ceniony powszechnie.

Przez długi ciąg moich stosunków z tym domem, widywałem panią Zofię w różnych przygodach życia. Miała dwoje dzieci, syna i córkę; córkę wydała za mąż za Kajetana Dorożyńskiego, lecz krótko cieszyła się nią: dobra, miła, po roku zamężcia, umarła. Był to dla rodziców ciężki cios. Widziałem ją po tém nieszczęściu: boleść głęboka rozdarła jój serce, ale z chrześciańską rezygnacją zniosła ją; całą miłość zlała na pozostałe dziecię, ale i tém się długo nie cieszyła, po kilku miesiącach poszło za matką: został tylko syn, cała nadzieja domu.

Mieszkałem od nich o mil sześć, dość odległe na złe drogi naszej prowincyi; mimo zajęć każdego prawie miesiąca odwiedzałem ich. Dom ten przez kilka dziesiątków lat, prawie się nie zmienił, przybyło tylko więcej dostatku, bo gospodarstwo Prymusowi wiodło się: zbierał kapitały, konie piękne zaprowadził. Co dnia można było widzieć starego *Semena* jak na dzielnym wierzchowcu, jeździł wkoło dziedzińca: był to masztalerz, kawalerski jeszcze sługa, jeździec wyborny. Gospodarz siedział na ganku i dyrygował jazdą; kogo polubił, to pozwalał przysłać konia do Karpowiec, kazał go wyjeździć, sam wypróbował i skończonego wierzchowca oddawał. Ten *Semen* całe życie im służył; umarł na parę lat przed ich śmiercią. Z okna pokoju w którym mieszkał Prymus widać krzyż na jego grobie. Gdym przyjechał po śmierci *Semena*, najpierw zaprowadził mnie do okna i pokazał krzyż: „To mego *Semena*,“ ból i żal widziałem w jego oczach.

Była tu od czasów jeszcze panińskich *Zofia* panna *Elżbieta*, typ dawnych, przywiązanych sercem i duszą rezydentek: kogo państwo lubili, ona polubiła, i starała się wszelkimi sposoby dogodzić, pracowita, praktyczna, wielce użyteczną była: lekarka wszystkich chorych we dworze i na wsi, zrzędzająca tylko na leniwe sługi, zdawała się nieodbitcie potrzebną; wszystkie gospodarskie kłopoty i przyrzady brała na siebie, umiała im dać radę i dumną była z tego: ona utrzymywała owoce, umiała smażyć wyborne konfitury, odznaczała się pieczeniem ciast; pilnowała oszczędności, choć jej w przyjęciu gości nigdy znać nie było. Najmilszą jej rozmową było unoszenie się nad samą panią *Zofią*, i o podróży do *Czortkowa*, gdzie miała po rodzicach jakąś własność, jakie to miała kłopoty i trudy, jak je musiała pokonywać, jak tęskniła do *Karpowiec*. Dom *Karpowiecki* dla wszystkich był otwarty, często tu ktoś bawił. Zachęcała uprzejmość i swoboda gościa, nie było tu owych wytężonych rozmów, każdy był jak u siebie: wszystko szło regularnym trybem. Kiedy znalazł się przedmiot zajęcia, schodzono się do sali, najczęściej do pokoju pani samej. Choć pamiętająca że ma gości, pierwsza do poważnej rozmowy, nigdy prawie nie rozmawiała z próżnemi rękami; bez przerwy coś robiła: takiej pracownicy rzadko. Ubiory dla siebie prawie wszystkie szyła własną ręką. Umiała rysować, grała i przyjemnie w młodszym wieku śpiewała. Całej okolicy otaczał ją szacunek. Była to prawdziwa matrona dawna: wszystko swoje kochała i umiała ocenić: cieszyła się każdą pomyślnością drugich. Poważna i pełna wdzięku, ze spokojem na czole, ze słodkim swoim serdecznym uśmiechem, każdego potrafiła pocieszyć, dobrą radą opatrzyć i dziwna, dożywszy lat 72, niewiadać w niej było starości. Zawsze czysto i z gustem ubrana, uśmiechnięta, ze swobodą na czole, zajęta jak osoba młoda: literaturą, domem, gośćmi, w ostatnich latach zimą już nie wyjeżdżała. 8 grudnia 1868 roku, towarzyska jej lat tylu, owa panna *Elżbieta*, starsza od niej znacznie zachorowała, i w kilka dni umarła. To już bardzo ją dotknęło, ale zdawało się, że cios ten przyjęła z rezygnacją, namówiła nawet mnie już blisko o kilka wiorst mieszkającego, abym z jej

synem pojechał do jej siostry; chciała być samą i usunąć od syna widok konania tej, co go prawie wychowała. W kilka godzin po naszym wyjeździe chora umarła. Wróciwszy zastaliśmy ją powierzchownie uspokojoną, tylko mnie już zatrzymywała usilnie. Przez kilka dni, choć wyjeżdżałem na parę godzin, zawsze wracał, nakoniec ostatniego dnia pragnącego wyjechać, zatrzymała jeszcze na obiad, prosiła bym jej napisać do redakcyi Tygodnika, a że i ja miałem wyprawiać po *Kłosy*, wzięła mój list obiecując nazajutrz wysłać oba na pocztę. Była zupełnie zdrową, wyglądała zwyczajnie, tylko serdeczniejsza bardziej; rozmawialiśmy wesoło i z zupełną spokojnością, mówiła o swoich zamiarach na lato; po obiedzie rozstaliśmy się na kilka dni. Trzeciego dnia w nocy służący wchodzi z świecą do mego pokoju i mówi, że posłaniec z Karpowicz przyjechał. Kazałem go zawołać; pytam czego w nocy przyjechał? odpowiada: „Pani umarła.“ W pół godziny byłem już w Karpowiczach, ujrzałem ją na katafalku; ten sam pokój w obliczu, prawie nie zmieniona. Trudno żądać dłuższego wieku, ale dla niej można było zrobić wyjątek; tyle jeszcze miała władz umysłu i ciała! Cała okolica zasmuciła się, nie mówię już o sobie, chociaż dotkliwszej straty w życiu nie poniosłem: świat mi spustoszał. Rozdzierający widok przedstawiał jej mąż, starzec 78letni: boleśń zgięta, siedział nad zmarłą jak posąg żalu. Rok tylko i dwa miesiące ją przeżył, ale cóż to było za życie? prawie nieprzytomny, z zamgloną źrenicą, nie chciał zdać się patrzeć na ludzi. Stan jego tak był okropny, że wszyscy życzyli mu prędszego końca. Zofia umarła 17 grudnia 1868 r., Prymus 13 lutego 1870 r. Takich ludzi już mało. On małomówny, surowy, nic nie potrzebujący dla siebie, ale rzadny, regularny, rzetelny, użyteczny; ona słodka, ukstałcona, nie zmieniającej się pogody oblicza, czynna, kochająca ludzi, wierząca w postęp, rozumiejąca wszystkie kwestye czasu, słowem, wzorowa niewiasta.

Blizko Zharu w osadzie szlacheckiej zamieszkał znajomy nieco z pism swoich i muzyki Józef Kotoni, nazwiska włoskiego; ojciec jego był tutejszy szlachcic; trudnił się nauczycielstwem, dawał lekcye muzyki przez kilkadziesiąt lat w wielu domach. Józef od ojca miał początki, ale wkrótce przewyższył go o wiele, i doszedł do znakomitej siły na fortepianie; przebywał w bogatych ukraińskich domach, gdzie w kształceniu i muzyce wiele korzystał. Z natury zdolny pracował nad rozwinięciem umysłu; kilka lat młodości przepędził z Sewerynem Goszczyńskim, autorem zamku Kaniowskiego. Gdy go poznałem był w pełnej sile życia, wyglądał z ukraińska, a obiecywał daleko zająć w muzyce i literaturze. Było to 1837 roku: kilka lat go nie widziałem, nakoniec odbieram list z Odessy od Aleksandra Wicherskiego, polecający mi Kotoniego, który w okolicy gdzie mieszkam osiadł. Wicherski, kolega mój szkolny, niepospolitych zdolności, korespondent pism Warszawskich. Gdym go zobaczył, zmieniony był do niepoznania, choroba go złamała; kilka lat przeżył w Odessie: klimat przymorski zmienny i tryb życia, jak sam mi mówił, pozba-

wiły go zdrowia. Posiwiął, wychudł, brodę zapuścił długą; wrócił z Odessy z postanowieniem, nigdy już nie mieszkać w większem mieście. Odessa jednak była mu korzystną pod względem materyalnym, ubierał tam ze swój pracy sumkę, za którą kupił kawał ziemi z domem i sadem. Tu we własnym kącie osiadł, sprowadził fortepian, książki i dożywał wieku. Prawość i loiki niepospolitej, znalazł szacunek i zaufanie u sąsiadów; wieś zapadłą gdzie o książce ledwo kto słyszał tak zachęcił i ożywił, że po latach kilku ze składek utworzyła się szkoła, gazet i pism kilka już do niej przychodziło. Szlachta go szacowała, spory jej rozsądzał, i skrócił w znacznej części zakorzenie procesowanie się; czasem wybrał się za granicę swiej siedziby i kilka tygodni bawił. Miałem z nim prawdziwą przyjemność: całemi godzinami słuchałem jego muzyki, grał biegle i z uczuciem. Temata jego utworów znajomych w świecie muzycznym, były wszystkie ukraińskie. Poezyę lubił i miał jej głębokie uczucie. Mówił mi z pamięci wiele własnych utworów; nie były one siły mistrzów naszych spółczesnych, ale serca, naturalności, wdzięku miały bardzo wiele. Znałem niektóre jego pisma wydane w Wilnie; te co mi mówił, bez porównania wyższe. Słuchacz to był miły: ile to rzeczy wysokiej wartości przeczytaliśmy razem! Do dawnych przyjaciół miał szczególne przywiązanie; stosunki z Odessą utrzymywał listowne, czasem nawet tam jeździł i kilka tygodni bawił. Tęsknił jednak do swego domku, małego, chłodnego, gdzie często wiele rzeczy brakło: obchodził się jakbądź, jadał proste potrawy i tych nie zawsze miał dość, bo chociaż był właścicielem kilkudziesięciu morgów roli, gospodarstwem się nie zajmował i nie miał żadnego dochodu; zawsze jednak swobodnej myśli, nie troszczył się i nie martwił. Gdyby chciał, mógł mieć największe wygody i towarzystwo najlepsze, bo był pożądanym gościem w domach zamożnych, wołał swój niedostatek i swobodę. Goszczyński młodym chłopcem, pracował w kancelaryi obywatela Zaleskiego. Był to chłopak już wtedy obiecujący, dobry towarzysz, trochę bujny. Kotoni w bogatym domu Zaleskiego dawał lekcye muzyki. Znałem niektóre domy gdzie on bywał, wszędzie wspomniany z zajęciem i szacunkiem; wiele bogatych panien uczył, znałem nawet w Warszawie jego uczennice. Pokąd mu sił starczyło pracował, ubogich swoich krewnych wszystkich prawie nauczył muzyki, tak, że niektórzy mają z tego utrzymanie, obcych nawet ubogich uczył darmo. Miał przy domku w ogrodzie kilka wielkich drzew czereśniowych i parę włoskich orzechów. Jeden z dawnych jego uczni Jakób Czeczal, przysłał mu dziesięć pni pasieki; pod czereśniami ją postawił; przebywał tam często w lecie, tam czytał, tam sypiał po obiedzie. Pod koniec życia nadzwyczaj wiele snu potrzebował: kładł się wczesnie i po południu musiał sypiać koniecznie. Wyniółszy się ze strony gdzie on mieszkał, jakiś czas go nie widziałem, gdym go obaczył, nie miał już siły podnieść się; nad łóżkiem miał przybitą szeroką taśmę, której musiał się trzymać, gdy się obracał: nogi mu zbrzękły. Brat go doglądał, kobiety nie było w domu. Żony nigdy

nie miał. Ze łązami rozstaliśmy się, za kilka dni postanowiłem go odwiedzić; nim te przeszły już nie żył. Rękopisy muzyki i poezji muszą się znajdować u krewnych.

Fryderyk Krause.



F

8398

~~Improvement of the sea.~~

~~W. M. Maitland.~~